

Dariusz Pawlicki

O listach w liście

Znad jeziora Pogorzelec,
25 sierpnia 20... r.

Szanowny Panie,
na nadjeziornych trzcinach pojawiły się nieznaczne żółte przebarwienia. Zauważyłem to wczoraj. Zaczyna więc robić się naprawdę jesienią. Świadczą o tym także coraz niższe temperatury np. dzisiejszego ranka, około 7.00 były ledwie 4 stopnie. A do początku jesieni kalendarzowej pozostało jeszcze trochę czasu.

Po tym pogodowym wstępie zaznaczę, nie zaskoczy to jednak Pana, że bardzo lubię czytać listy (pośród nich, te które otrzymuję od Pana, zajmują miejsce wyjątkowe). Składając tę deklarację chciałbym jednak podkreślić moje szczególne zainteresowanie ukazującymi się drukiem zbiorami listów (czy nasze dostąpią tego zaszczytu? Jeśli chodzi o mnie, to chyba nie miałbym nic przeciw temu). Na szczęście raz po raz wydawcy publikują tomy listów tych czy innych osób. Dzięki temu na półkach bibliotecznych, księgarskich czy antykwarycznych znajduję zbiory epistoł, które z różnych powodów uważam za warte poświęcenia im mego czasu. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że w takich wypadkach zaznajamiam się z czyjąś prywatną korespondencją. Choć wydaje mi się, że fakt, iż autorzy tych listów, jak i ich adresaci, najczęściej przebywają już w innym świecie (czy piszą tam listy, choćby te elektroniczne?), osłabia znacznie wrażenie wścibstwa. Zresztą jeżeli znajdują się w tym samym świecie, co czytelnicy, muszą wyrazić zgodę na opublikowanie swoich listów. Jeśli zaś nie, w „zastępstwie” czynią to ich spadkobiercy.

Odnosnie uwagi na temat mojego upodobania do listów, chciałbym jednak zaznaczyć, że nie mam na myśli tekstów literackich, które w rzeczywistości nie są listami, jedynie przybierają ich formę – naśladują je. I które od początku były pisane z myślą o ich upublicznieniu, w takiej właśnie formie (postaci). Przykładem takich zabiegów są *Listy starego diabła do młodego Clive'a S. Lewisa*.

Moje zainteresowanie autentyczną korespondencją, daje o sobie znać, zwłaszcza wtedy, gdy na grzbiecie książki (najlepiej grubej) widzę choćby jedno znane mi nazwisko związane ze światem literatury. Jeżeli do tego, który nosi owo nazwisko czuję sympatię, jest to kolejnym, i to bardzo istotnym, powodem, aby publikację nabyć bądź pożytyć. Mam jednak na myśli nie tylko prozaików czy poetów, ale także wydawców, redaktorów, tłumaczy. Listownymi zapiskami polityków, kompozytorów, w ogóle muzyków, tak jak i naukowców/uczonych nie jestem zainteresowany; przynajmniej jak dotąd.

Właśnie w tym miejscu mojej epistoły

poczułem potrzebę wyjaśnienia powodu tego, że piszę do Pana, choć jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi na poprzednią. Tym bardziej, że wysłałem ją ledwie trzy dni temu. Otóż od kilku godzin jestem szczęśliwym posiadaczem tomu pokaznych rozmiarów zatytułowanego *Wspólna obecność. Korespondencja Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Anną i Jerzym Turowiczami*. Jeśli zapytałby mnie Pan, co spowodowało ten zakup, to odpowiedziałbym – obecność na grzbiecie i okładce nazwiska: Jerzy Turowicz. Bardzo go bowiem cenię (czy można cenić ludzi nie żyjących? Bo podziwiać ich dokonania, z całą pewnością tak). A to przede wszystkim za to, że w okresie trudnym dla człowieka mającego poglądy zdecydowanie sprzeczne z obowiązującymi, dominującymi i uważanymi za właściwe, pozostał przy własnych, „nieprawomyślnych”, ponosząc tego konsekwencje. Napisałbym o Turowiczu więcej (także odnosząc się do krytycznych uwag pod jego adresem, jakich nie brakuje w *Dziennikach* Stefana Kisielewskiego), ale to może innym razem, gdyż ten list chciałbym jednak poświęcić mojej słabości do tomów zawierających korespondencję.

Po przeczytaniu pierwszych szesnastu listów składających się na *Wspólną obecność*, lekturę przerwałem. Nie, nie, nie dlatego, iż mnie znudziły, czy że pojawiła się konieczność wykonania jakiejś pilnej pracy. Przerwałem, aby... za szybko nie przeczytać całości. Dawkując sobie tę lekturę, sprawię bowiem, że związana z nią przyjemność będzie rozłożona w czasie. Tym bardziej, że uczucie zadowolenia wynikające z czytania trwa przecież dłużej niż ono samo. Zaczyna bowiem dawać znać o sobie jeszcze przed rozpoczęciem lektury, jak też trwa czas jakiś, po jej zakończeniu.



Fot. Dariusz Pawlicki

Jestem prawie pewny, że na ugruntowanie mojego zainteresowania opublikowanymi korespondencjami, najistotniejszy wpływ miało zaznajomienie się z wydawanymi przez Czytelnika, w ramach serii „Archiwum Kultury”, kolejnymi tomami obejmującymi listy, jakie Jerzy Giedroyc wymieniał z poszczególnymi osobami współtworzącymi

krąg „Kultury” zwanej paryską (dlaczego „paryską” skoro miesięcznik był wydawany w Maisons-Laffitte?). Wydaje mi się, że owe pozycje są Panu nieznane, choć o twórczości kilku osób z tego grona, wyrażał się Pan pozytywnie bądź bardzo pozytywnie. Przykładem może być Jerzy Stempowski.

Najprawdopodobniej pierwszą publikacją z tej serii, z jaką zapoznałem się, a i zakupiłem, była dwutomowa edycja listów (obejmuje tylko połowę zbioru), jakie redaktor „Kultury” i Juliusz Mieroszewski wymienili ze sobą. Niedługo potem mój księgozbiór wzbogacił się o zbiory zawierające korespondencję J. Giedroycia z Witoldem Gombrowiczem, przedstawicielami emigracji ukraińskiej, Czesławem Miłoszem. Ale pośród zbiorów epistoł jakie posiadam (mam je zgromadzone w jednym miejscu – zajmują ¾ półki) są również niepisane przez Redaktora, ani do niego, ale wymieniane pomiędzy innymi osobami z grona osób z nim współpracujących. Przykładem jest korespondencja Cz. Miłosza ze Zbigniewem Herbertem, listy pisane przez Konstantego A. Jeleńskiego do Józefa Czapskiego. Posiadam także publikację zawierającą korespondencję nie mającą żadnego związku z Giedroyciem. Przykładem tego mogą być trzy tomy listów Thomasa Mertona pisanych do różnych osób (jeden z nich zawiera także epistoły adresowane do niego), te jakie wymieniali ze sobą Wincenty Burek i Jarosław Iwaszkiewicz, jak też ten drugi z Teresą Jeleńską i K. A. Jeleńskim.

Co mnie pociąga w owych listach? Ich autentyczność. Nie powstawały bowiem z myślą o, choćby, ewentualnej publikacji (podobnym zainteresowaniem darzę dzienniki, pamiętniki. W ich jednak przypadku często, w związku z braniem pod uwagę druku, dawała o sobie znać autocenzura). Jeśli ich autorzy grali, to jedynie przed swoim interlokutorem listowym, a nie przed rzeszami przyszłych czytelników (ich istnienia, jak wspominałem, nie brali bowiem pod uwagę). Szczególnie jest to widoczne, jeśli weźmie się pod uwagę korespondencję prowadzoną przez redaktora „Kultury” (niewątpliwie był uzdolnionym i niezwykle płodnym epistolografem) z liczną rzeszą osób. Mają one przede wszystkim charakter, że tak go nazwę, roboczy. Dotyczą bowiem spraw związanych z publikacją tekstów na łamach miesięcznika „Kultura”, jak też książek przez Instytut Wydawniczy. Nie brakuje jednak także problematyki bytowej, choćby dotyczącej honorariów, stypendiów, jak też kwestii związanych ze zdrowiem, sprawami rodzinnymi. Sporo jest w nich komentarzy na temat sytuacji politycznej w Polsce i na świecie. I dlatego są doskonałym świadectwem losów Polaków, ale nie tylko ich, po 1945 r.

(Dokończenie na stronie 4)